

R.F. CRACK

JEDORIX

UMRĘ JUTRO



WYDAWNICTWO MYSTIC MOUNTAIN

R.F. CRACK

JEDRIX

UMRĘ JUTRO

WYDAWNICTWO MYSTIC MOUNTAIN

[Kup książkę](#)

Zdjęcie na okładce:
Judeus Samson

Opracowanie okładki:
Wioleta Mikołajek

Redakcja:
Jan Stasica

Skład i łamanie:
R.F. Crack

ISBN 978-83-961187-0-7
ISBN 978-83-961187-1-4 (Epub)
ISBN 978-83-961187-2-1 (Mobi)

Media społecznościowe autora:
[Facebook.com/RFCrack](https://www.facebook.com/RFCrack)
[Instagram.com/thereal_crack](https://www.instagram.com/thereal_crack)
[Twitter.com/rf_crack](https://twitter.com/rf_crack)
[Patronite.pl/RFCrack](https://www.patronite.pl/RFCrack)

Wydanie 1, Żywiec 2021 r.
© R.F. Crack, © Wydawnictwo Mystic Mountain

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu książki w środkach masowego przekazu wymaga zgody autora.

[Kup książkę](#)

SDX I

„Lepiej, żebyś znał parkiet, po którym tańczysz”.

- *uliczny artysta.*

Jedrix nie znosił tych tępych, „cienkich” leszczy z Codemixu. Ubrani w diabelskie skóry z mocno żółtymi sztucznymi włosami postawionymi do góry, oczami świecącymi niczym lampki choinkowe i pizdowatymi ryjami wyglądali jak żywcem wyjęci z jakiejś cholernej napieprzanki Nintendo 8143c. Zastrane kurwy. Choćby mieli lepszy sprzęt niż Regenci, nie załatwiliby go na jego terenie.

- Co ty tutaj robisz? – spytał ten z naderwaną brwią.

- Mieszkam tu – odparł Jedrix. – To ja powinienem zapytać, co wy tutaj robicie?

- Nie twoja sprawa, gnoju – rzucił najwyższy. Puszył się przy tym jak paw, jeszcze nieoskubany ze swoich piór na ogonie.

W magazynku mam trzydzieści świeżo załadowanych kul gotowych odstrzelić ci ten twój pierdolony łeb na strzępki, szybciej niż wypowiesz słowo „sorry”, pozerze – więc uważaj na to, co mówisz. Nie jesteś u siebie.

Było ich trzech: naderwana brew, wysoki i kudłaty na rękach (ubrany w dziurawe, poszarpane, chyba przez krodyla, spodnie). Rozglądali się po okolicy, najwyraźniej szukając zaczepki, bo co innego mogliby robić? Wielcy bohaterowie. Poza biciem przechodniów, młodych ojców wracających z pracy do domu, nie potrafili nic innego. Zgodnie z propagandą stanowili zaplecze dla oddziału o nazwie „FIP”, spełniającego funkcję policji (FIP to znaczy Funkcjonariusze Instytucji Prawa, albo Fujary i Pajace, jak tłumaczyli lokalni z „Urwanego Sektora”). Tak naprawdę FIP-y nigdy z nimi nie pracowali, ani ich nie wzywali, kiedyś były próby

ujednoczenia służb, ale jak to zwykle bywa, rozeszły się o forse. Dlatego Codemixy zostali małym, skundlonym oddziałem pałętającym się bez wyraźnych obowiązków i celu po mieście. Krążyli, przeszukiwali przechodniów, szukali zaczepki z małolatami, podrywali co ładniejsze kobiety. Ubrani jak gwiazdy punka, pochodzące z dalekiej przyszłości, przy każdej sposobności starali się zwrócić na siebie uwagę. I przeważnie im się to udawało.

– Nie bądź taki twardy, bo powietrze może z ciebie szybko ulecieć – odpowiedział Jedrix. – A gacie mogą się napełnić szczochami.

Wysoki zacisnął pięść, nakładki jego oczu zatrzymały się na kolorze bordowym. Codemix pewnie kalkulował, czy w trójkę poradzą sobie z Jedrixem. Pozostali stanęli niepewnie kilka metrów od siebie. Wysoki zrobił krok do przodu.

– Jeszcze jeden i matka będzie musiała odwołać bezpowrotnie wszystkie twoje wizyty u fryzjera, więc się zastanów – dorzucił Jedrix.

– Przyjdzie taka chwila, że cię dorwiemy. Wtedy będziesz leżał i błagał o li...

– Milcz. Bo mogę stracić nad sobą panowanie, a to dobrze nie wróży.

– Chodź, Maxim – odezwał się kudłaty. – To śmieć. Nie warto tracić na niego czasu.

Codemix oderwał wzrok od Jedrixa dopiero po tym, jak Kudłaty położył mu rękę na ramieniu. Do końca chciał zgrywać twardziela. Oni po prostu tacy byli. Nigdy się nie zmieniali. Najwięksi chojracy w głębi duszy zawsze byli największymi tchórzami i Jedrix wiedział to z doświadczenia z „pracy z ludźmi”, jeżeli można tak nazwać jego robotę.

Chłystki ruszyły półmrocznym, betonowym chodnikiem prowadzącym w stronę wybrzeża. Odbijały się na nim migające szyldy sklepów. Niechętnie przebierali nogami, jakby chcieli Jedrixowi coś udowodnić. Chodziło o męskość.

Szkoda tylko, że zapomnieli o rozumie, uśmiechnął się pod nosem.

Na wysokości sex-shopu Kudłaty obrócił głowę.

– TY, PODRAPANE OKO! JUTRO – Przeciął szyję kciukiem jak nożem.

Jedrix poczuł wzbierającą w sobie złość, ale jego uwagę przykuł wibrujący na ręce zegarek. Ktoś dzwonił. Dzisiaj wam odpuszczę. Odchylił kciuk, żeby odebrać połączenie. Gdyby skierował palec do środka, dzwoniący usłyszałby pocztę głosową. W uchu miał wszczepiony niewidoczny gołym okiem mikrołośnik, a do wargi wklejony mikroskopijskich rozmiarów skóropodobny mikrofon, więc nie musiał przystawiać nic do uszu ani do ust. Zegarek w ogóle był bajerem. Właściwie Jedrix dziwił się, dlaczego ludzie tak nazywają ten sprzęt, przecież od trzeciego roku przestał on pokazywać czas. Czas się czuło. Dzięki rewolucyjnej inżynierii genetycznej.

– Halo – usłyszał przerywany, niezidentyfikowany głos.

Może to Finet?

– Halo? – powtórzył dzwoniący.

Teraz go rozpoznał.

– No – odpowiedział Jedrix.

– „Ri”?

– No pewnie, że Ri, a kto inny?

– Ri, idą po ciebie. Błagam cię na Boga, czy na tego, w kogo najbardziej wierzysz – uciekaj. Nie walcz. Wiedzą o „tym”.

– Kto?

– Ery. – Skrót oznaczający Regentów.

– Pierdolisz?

– Zero-osiem-jeden. Pomyłka. Przepraszam. – Rozłączył się.

Jedrix poczuł się tak, jakby jakiś ciężar spoczął mu na piersiach. Serce zmieniło tryb na „slow-mo”, wybijając swój głuchy rytm w jego myślach. Umysł wszedł na niebezpiecznie wysokie obroty. W mgnieniu oka zdał sobie sprawę, że ma najwyżej

trzy minuty, bezpiecznie – jedną, żeby się spakować i schować do tunelu. Od dawna był na to przygotowany, bo miał ryzykowną pracę, ale nie sądził, że namierzą ich tak szybko. Ktoś musiał sypnąć lub pójść na układ ze Służbami. Jimmy albo Jackas. Ewentualnie „Zi”. Kłamliwe szczury.

Codemixy zniknęli w cieniu nieoświetlonej części chodnika.

Ri wziął głęboki oddech, po czym rzucił się w stronę klatki schodowej. Wbiegł na schody, drugie, trzecie piętro, wyjął z kieszeni klucz, czwarte piętro, metalowe drzwi, skaner, podbiegł do beżowej sofy, nacisnął przycisk. Rozłożyła się, odkrywając skrytkę, w której leżała czarna sportowa torba z lat dziewięćdziesiątych. Nie chciał jej wyjmować, ale nie miał wyjścia. Finet nigdy nie żartował w takich sprawach, nawet kiedy szkolił młodych. Z pionowej wąskiej szafki wyciągnął strzelbę IZS-500 z nabojami. Potrafiła jednym strzałem powalić na ziemię Gigantów w zbrojach. Byli to zawodowi żołnierze wyszkoleni do ochrony rządowych obiektów, walczący w tytanowych szkieletach bojowych, które przedłużały im ręce i nogi. Do drugiej torby spakował jedzenie i gadzety. Ból odnowił się w jego prawej stopie, którą w zeszłym tygodniu zahaczył o kratkę ściekową, biegnąc po zmroku.

Nagle zrobiło się cicho. Przeraźliwie cicho. Przez otwarte drzwi nie wpadał do mieszkania żaden odgłos ani szum. W jego fachu oznaczało to jedno – już tu są. Wychodzą po schodach. Dom jest otoczony. Ma około pięć procent szans na ucieczkę.

Nie zdążę zejść do tunelu. Szlag! Mogłem posłuchać Aarii, która mówiła, żeby zmienić to mieszkanie.

Regenci byli prawdziwymi profesjonalistami wyposażonymi w najnowszą broń. Przy strzelaniu do nich musiałeś bardzo uważać. Jak spudłowałeś na początku, to łapiduchy sprzątający ciała na drugi dzień mogli zeskrobywać twoje flaki z posadzki zaostrzoną dwudziestocentymetrową łopatką.

Głosem zamknął drzwi. Wyrzwał ostrożnie przez kuloodporne okno na ulicę. Pod klubem naprzeciwko stał jakiś fagas z umalowaną lalką. Po lewej biegały dzieciaki za piłką. Nigdzie nie zauważył czarno-złotej furgonetki, więc przypuszczał, że wysłali połowę oddziału. Dwunastu specjalistów. Dwunastu wspaniałych! Przeprowadzą szybki szturm na mieszkanie, zrobią swoje i może jeszcze zdążą wrócić do domów na ciepłą kolację.

Nie dziś.

Wyjął z lodówki dwa granaty zimno-oślepiające, aktywował je i podszedł do małego okienka ukrytego przy podłodze, wychodzącego na schody. Dwóch Regentów z IZS-ami skradło się do góry. Ostatni z nich wzywał ręką następnych.

Dali im nowy model. Szczęściarze.

Już miał wyrzucić granat pomiędzy czwórkę, żeby przetestować ich pancerze, kiedy usłyszał ogromny huk za plecami przypominający odgłos walenia muru. Łoskot zdezorientował go na moment. Budynek zatrząsł się, a białoszaronijaki pył, wypełniając przestrzeń wokół, wlał mu do oczu i nosa, oraz osiadł na ustach. Jedrix upadł na kolano, przez kilka sekund nic nie widział. Przypuszczał, że zaraz Regenci wyważą drzwi wejściowe i wejdą do środka. Tak by postąpili profesjonaliści. Przynajmniej tak powinni, choć tam czekała ich mała niespodzianka. Może tego się bali. Przetarł brudne oczy nasadą dłoni. Spojrzał jednym okiem na pokryte pyłem granaty. Obrócił głowę, żeby zobaczyć co się stało. Silny strumień białego światła z nieba doszczętnie go oślepił. Sięgnął do kurtki po okulary ochronne i po chwili zobaczył funkcjonariusza siedzącego za reflektorem w helikopterze. Podszedł, żeby mu się przyjrzeć. Do maszyny była przymocowana metalowa łapa wisząca na stalowej linie. Łapa rozerwała połowę dachu oraz zwała dużą część ściany od strony ulicy. Mieszkanie zasypał gruz, który przywalił torbę leżącą na sofie.

Kurwa! Remontowałem to miejsce sześć miesięcy, służbiaki. A więc tak chcecie się bawić? No dobra.

Próbował sięgnąć po czarną torbę, gdy Regenci wysadzili drzwi wejściowe, które z trzaskiem wpadły do środka. Upadł na podłogę. Schowany za fotelem obserwował, jak powoli opada kurz i w myślach liczył.

Trzy.

Strasznie dudniło mu w uszach.

Dwa.

Koleś z helikoptera przesuwiał po mieszkaniu okrągłym snopem światła, ale prawie nic nie dało się zobaczyć w tej zawierusze.

Jeden.

Usłyszał, że wchodzi do mieszkania. W futrynach pojawił się ciemny hełm pierwszego z nich.

Zero.

Zaraz będą fajerwerki.

Schowął głowę w dłoniach.

BUUM! BUUM!

Płytki pod stopami oficerów oraz meblościanka za drzwiami rozsypały się w drobny mak, raniąc funkcjonariuszy służb specjalnych. Regenci, którzy byli z tyłu, chwycili ogłuszonych kolegów, szarpnęli ich i sprowadzili piętro niżej. Klęli na czym świat stoi.

Jedrix przeskoczył na drugie skrzydło mieszkania, wrócił się na plecy, złapał pistolety, które niemal same wskoczyły mu do rąk i zaczął strzelać do helikoptera. Od teraz Regenci mieli prawo go zabić. Oddanie strzału do funkcjonariuszy było biletem w jedną stronę – albo przeżyjesz ty, albo oni. Raczej nie zdarzało się, żeby ostateczne rozstrzygnięcie było inne. No chyba że w przypadku Codemixów, ale ich nie zaliczał do służb.

Wypuścił trzynaście pocisków w okolice wirnika, lecz helikopter nagle się wzniósł, dlatego chybił. Pilot wyleciał

z zasięgu strzału. Jedrix obawiał się jego odwetu, więc prawy pistolet trzymał nieustannie nakierowany na okienko śmigłowca, a lewym nękał Regentów chowających się na schodach. Kule latały po mieszkaniu i klatce jak kulki we flipperze, tam i z powrotem, na jedną i drugą stronę. Głuchy, tępy wystrzał zasygnalizował wymianę magazynku.

Cholerny kurz.

Pilot podlatywał bliżej, żeby funkcjonariusz siedzący za jego plecami mógł oddać precyzyjny strzał. Jedrix przymierzył, wstrzymał oddech, zwizualizował sobie tor lotu kuli, przechylił odrobinę pistolet, nacisnął spust. Pocisk przeszył zimne powietrze i wbił się w jasne blaszki przy wirujących łopatach.

– JEEA!

Z silników maszyny wydobyła się czarna smuga chropowatego dymu wirująca w powietrzu niczym małe, dziwne tornado. Trafienie od razu ściągnęło śmigłowiec w dół.

Tymczasem Regenci wrzucili do mieszkania granaty oślepiające, ale Jedrix miał na nosie niezawodne okulary Ziksa.

Możecie mi naskoczyć, chłopcy.

Wychylił się zza filara i zaczął strzelać seriami. Dwóch Regentów upadło na ziemię, trzymając się za nogi. Trzeci dziurawił pociskami szafę, która stała na drodze, aby dosięgnąć Jedrixa. Gdy kula przeleciała tuż nad głową Ri, zdecydował, że czas stamtąd wiać. I to szybko.

Przesunąwszy kwadratowy taboret na swoje miejsce, wystawił jego kant za ścianę, tak żeby imitował ramię. Zarzucił na barki mały plecak wyciągnięty z szuflady z T-shirtami i podczas gdy Regenci masakrowali niski mebel, otworzył okno pilotem, wziął rozpęd i odbił się stopami od parapetu. W locie wyrzucił dwa granaty dymne, które miały mu utworzyć zasłonę na wypadek towarzyszy na dole. Musieli tam być, choć Jedrix ich nie widział.

Świeże, rześkie powietrze.

Otworzył sportowy spadochron, który poderwał go łokieć do góry. Pozostało dobrze wylądować. Szarpnął za lewą linkę mocniej, żeby nie wlecieć na przestarzałą linię wysokiego napięcia.

ŁUB! – Piekielne uderzenie w serce. Przed oczami zrobiło mu się szaro. Nijakie, bezbarwne plamy pokryły horyzont. Wciągnął powietrze jak astmatyk.

ŁUB! – Druga kula trafiła w obojczyk.

Cholerny Snajper! Muszę coś zrobić, bo przebiję kevlar.

Znajdował się dwa dobre metry nad ziemią. Odpiął plecak w nadziei, że jakoś wyląduje, ale nadzieja okazała się płonna. Gruchnął na atramentowy asfalt jak chiński wazon zrzucony kiedyś niechcący przez nieżyjącego Eda z ekipy na twarde, ciemnogłonowe płyty podłogowe w domu wysoko postawionego arystokraty. Stawy zatrzeszczały nieprzyjemnie. Nie potrafił ocenić, czy coś sobie złamał czy nie, bo nie było na to czasu, ale krzyż i nogi bolały go niemiłosiernie.

Snajper zamilkł, szukając celu. Jedrix przeczłogał się kawałek pod niski żywopłot, po czym schylony pod ostrzałem kul pobiegł w stronę dawnego osiedla Zi. Z jego łokcia ściekała krew.

Ciemne, prawie nieoświetlone uliczki oraz znajomość terenu dawały mu lekką przewagę nad Regentami. Szukał wzrokiem szybkiego źródła transportu albo pewnej kryjówki. Ból stopy nasilał się z każdym kolejnym krokiem. Do klatek schodowych nie znał kodu, więc nawet nie podchodził do szyfratorów. Gnał do opuszczonego kwadratu Zi, trzymając się za nogę.

Regenci oddali strzały. Część kul zatrzymała się na drzewach, które osłaniały bieg Jedrixa, ale jedna utknęła w jego prawej ręce.

Szlag!

Ból sparaliżował prawy kciuk. Upuścił pistolet.

Kolejne strzały. Nie miał czasu, żeby się obracać i rewanżować, a nie chciał przypadkowo trafić żadnego przechodnia.

Fakt, że był Aimerem, zawodowym zabójcą, nie uprawniał go do masakry na osiedlu znajomego. W ogóle dziwił się, że Regenci tak po prostu strzelają w miejscu, gdzie mieszka tyle cywili.

Tuż przed nosem przeleciała mu spora kula. Duży kaliber. Nazywali to w ekipie „*funny shot*”. „*Funny*” dlatego, że szczęście w takich sytuacjach zazwyczaj przechodziło na uciekającego i odtąd szanse strzelającego na wykonanie zadania znacznie malały. Zdarzało się, że szczęściarz w odpowiedzi oddawał zaledwie jeden strzał, który był tym śmiertelnym.

Dosyć tego!

Obrócił się, przykucnął i wymierzył. Za szarym słupem chował się Regent bez hełmu. Ręka drżała Jedrixowi, jakby trzymał pistolet pierwszy raz w życiu. Z prawej słyszał kroki zbliżających się osób. Czas! – ponaglał mózg. Przymknął nieimplantowane oko. Wycelował. Wystarczyły trzy szybkie pociągnięcia. Regent zawył z bólu. Jedrix podbiegł do niego, zdzielił go łokciem i wyszarpał mu broń. Oficer zasłonił się ręką w gęście obronnym.

Jedrix wbiegł na niedomkniętą klatkę schodową. Kule znowu zaczęły świszczeć, odbijać się od twardych powierzchni i metali. Wybiegł z drugiej strony bloku, przeskoczył parkan, kątem oka zauważył pozycję snajpera na pierwszym piętrze i padł na ziemię. Ta niewiarygodnie szybka reakcja uratowała mu życie. Przeczółgał się do koszy, obracając głowę na wszystkie strony. Wymienił magazynek z dwoma nabojami. Oparł się plecami o chropowatą ścianę. Wtedy druga kula utkwiała w jego łydece.

Jęknął pod nosem.

Dziesięć metrów dalej brzydki samochód bez wycieraczek wjechał na parking. Przebiegnięcie do niego wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem. Snajper mógł tym razem nie spudłować. Dwóch Regentów kryło się za wysokim SUV-em, zajęli znakomitą pozycję. Praktycznie odcięli Jedrixowi drogę ucieczki.

Jeszcze nie koniec.

Wyciągnął płaski ręczny granat Tobacco, kiepskiej tajwańskiej firmy. Upewnił się, że cywile nie stoją przy brązowym SUV-ie. Wyrzucił pocisk i pognął ile sił w nogach wprost na pozycję snajpera. To powinno go totalnie zdezorientować, bo w takiej sytuacji zazwyczaj cel tego nie robił.

BUUM!

Huk szyb, wybuch płomieni i jęk palących się oficerów.

Nagły zwrot ostro w prawo, aby wyjść z pola widzenia snajpera. Wystrzelona przez niego kula zdążyła jednak rozerwać Jedrixowi kevlar na ramieniu. Pomknął szybko za blok. Udało się, na chwilę zniknął służbom. Krwawiąca łydka i ręka wywoływały zachwiania równowagi. Momentami nie mógł złapać oddechu.

Przed sobą ujrzał główną drogę prowadzącą do Staytone. Bajecznie opływowe samochody pędziły z obłądną prędkością trzypasmową autostradą, nie zwalniając na zakręcie estakady. Pastelowy autobus właśnie z niej zjeżdżał, kierując się na przystanek. Jedrix planował do niego wsiąść, kiedy młody chłopaczek z lodem w ręku, wyglądający na dziesięć lat, wyszedł z bloku, oblizując swoje wargi. Ri złapał go za rękę i wsunął się z nim do środka.

– HEJ! – wrzasnęło zezowate dziecko.

– Cii! – Położył mu dłoń na ustach.

Młody uważnie przyglądał się Ri, jakby nigdy wcześniej nie widział krwawiącego mężczyzny z pistoletem w dłoni.

Regenci przeszukiwali teren, maszerując w zasięgu wzroku od siebie. Jedrix zszedł z dzieciakiem na schody prowadzące do piwnicy. Chciał sobie zapewnić czas na ewentualną reakcję, gdyby jakiemuś Służbiście wpadło do głowy wejść do bloku. Młody wskazał palcem na krew ściekającą ze skórzanego kurtki Ri.

Jedrix machnął ręką.

– Nie przejmuj się – szepnął. Choć miał przecucie, że długo nie wytrzyma.

Coś mu nie dawało spokoju. Targały nim sprzeczne emocje. Zamiast wpatrywać się w półmroku w twarz chłopca, który dobierał się do kruchego wafelka, wrócił sprawdzić, gdzie poszli Regenci. Ciemność okrywająca bloki niczym wielki płaszcz sprzyjała kamuflażowi jednej i drugiej strony. W oddali, przez podwójną szybę, ujrzał Regentów zatrzymujących autobus. Nagle znikąd, tuż za nią, pojawił się funkcjonariusz trzymający wysoko IZS-a. Jedrix przytulił się plecami do mokrej ściany. Sądził, że Regent go zobaczył, a przynajmniej zauważył cień przesuwający się za oszklonymi drzwiami. Poprawił dłoń na uchwycie pistoletu. Kiwnął głową do chłopaka, żeby zszedł do piwnicy i się w niej zamknął, bo miał przeczucie, że Regent za sekundę tam wejdzie. Chłopiec rzucił mu obojętny, smętny uśmiech, ale został. Kończył jeść lody.

Ręka, w której utknęła kula, zaczęła go piec ognistym jęzorem. Na posadzkę z rękawa spływała krew. Już się jej trochę tam uzbierało. Bark oraz plecy stawiały opór, lecz był do tego przyzwyczajony. Przy wypełnianiu niektórych zadań w ogóle ciało manifestowało swoją słabość. To nie znaczy, że Ri był słabowity czy chory. Wręcz przeciwnie. Od dziesięciu lat nieprzerwanie utrzymywał się w znakomitej dyspozycji fizycznej i psychicznej. Ale zadania, które wykonywał, wymagały boskiej sprawności.

Nie ma bólu, powiedział do siebie. Nie ma bólu.

Ponownie zbliżył się do drzwi. Regenci gdzieś zniknęli. Powiódł wzrokiem po otoczeniu. Przypuszczał, że koleś w czapce z daszkiem i specyficznie zapinaną torbą, idący wolno po drugiej stronie drogi obok automatu z napojami, to snajper, który do niego strzelał. Specyficzny wygląd, chód i maniera rozglądania się wysoko. Na stówę to on, pomyślał. Pewnie taszczy pod ręką Malettę 250 z drewnianą kolbą. Dosyć standardowy model, szczególnie przydatny na krótkie dystanse. Celny, ale do dupy w deszczu. Reszta Regentów musiała pójść do bloków numer siedem i osiem, paru zostało przy spalonym SUV-ie, na wypadek

gdyby chciał ich zwieść, więc dysponował około trzema minutami na ucieczkę, zanim wróca, a na pewno to zrobią.

– Na razie, mały – rzucił. – Mnie tu nie było.

Pochylony pomknął wąskim chodnikiem wzdłuż bloku. Mógł dostać kulę z tyłu, ale musiał zaryzykować. Przeciął drogę wiodącą na główny osiedlowy parking, poczekał w krzakach, aż Regent patrolujący teren samochodem sportowym odjedzie, a potem miarowym tempem, idąc równo z budynkami, opuścił osiedle obstawione funkcjonariuszami. Tym razem szczęście było po jego stronie.

Uciskając rękę, skierował się do budki zajmowanej niegdyś przez robotników, a później wypchanej bronią dla FIP-ów, teraz opustoszałej, leżącej na skraju bloków, idealnie wkomponowanej w teren, prawie niewidocznej, jeżeli ktoś się uważnie nie przyjrzał.

Ręka drżała mu na prawo i lewo, stopy robiły się chłodne. Aktywował szyfrator, wpisał kod, drzwi od razu się otworzyły. Wszedł do środka, chwiejąc się na nogach. Czuł, że traci przytomność. Za kolejnymi drzwiami zobaczył Endgame'a, starego, dobrego przyjaciela (który miał taką ksywę). Wysokiego, dobrze zbudowanego, czarniejszego niż smoła Murzyna z cygarem. Nie lubił, jak zwracało mu się na coś uwagę.

– Co ty tu robisz, End? – wymamrotał.

Widział go prawie podwójnie.

– Czekam na ciebie. Wiedziałem, że tu przyjdiesz – odpowiedział, następnie uniósł AK-47eg...

PEŁNY TEKST DOSTĘPNY NA PLATFORMACH
SPRZEDAŻOWYCH

Docień moją twórczość na:

Patronite.pl/RFCrack

WYDAWNICTWO MYSTIC MOUNTAIN

[Kup książkę](#)

Po zmroku zazwyczaj wybierał się na spacer po dzielnicy. Odpoczywał, oglądając opustoszałe place zabaw, wysprejowane przystanki, zniszczone fasady starych kamienic, oświetlone poświatami bijącymi z okien bloki, eleganckie wystawy nieczynnych już sklepów oraz zaułki pełne bezdomnych. Oprócz tego rozmyślał nad swoimi sprawami. Aby nikt nie zauważył jego „małego obrzędu” i nie wykorzystał go przeciwko niemu, codziennie zmieniał trasy. Zupełnie się nie spodziewał, że dostanie taki telefon. Nie tak szybko. Odtąd czas zaczął grać na jego niekorzyść.

„Jedrix. Umrę jutro” rozpoczyna cykl opowiadań zatytułowany „Miasto marzeń”. Przeznaczony dla fanów SF, akcji i klimatów cyberpunka.

„Opuszczałem go wiele razy z postanowieniem, że już nigdy więcej tam nie wrócę. I tyle samo razy wracałem.

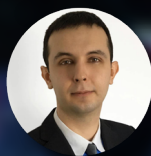
W końcu coś sobie uświadomiłem:
jak ja kur** kocham to miasto”.

- Malik, *RCnaszpikowany modyfikacjami*.

„Nie ratuj świata. Ratuj siebie.

Świata już nie uratujesz”.

- ojciec do dwunastoletniego syna.



R.F. Crack – szalony twórca przechadzający się mrocznymi ulicami Miasta marzeń. RC i jednocześnie poszukiwacz. Mocno uzależniony od dobrych historii.

Media społecznościowe:

FB - RFCrack

Insta - TheReal_Crack

Docień moją twórczość:

Patronite.pl/RFCrack



Wydawnictwo Mystic Mountain

Kup książkę